

II. Liryka lokalna



KAROL MALISZEWSKI

II. Liryka lokalna

W górę rzeki

Kamieniem się staje dotykane próchno
Świeci we mgłę wypalany trawnik
wydawało mi się że znam mowę ptaków
ale w tym lesie jakoś wszyscy zmilkli
odjęło im mowę dodało mi skrzydeł
wyszło z płomienia płomień wił się w dłoniach
bił skrzydłami o ściany wiersza
zamierał na ustach jak kwiat kasztanowca
poobłoczna piana na gałązkach słów
„już po mnie” mówiło się bo tak było modnie
przede mną góra do zdobycia
mgła do rozproszenia miłość do zabicia
wypełzały z tej czaszki jaszczurki przeznaczeń
po równo obdarowani odchodziliśmy
do swych kruchych zajęć
pamiętam chciałeś być księdzem
teraz się męczysz na odległej plebanii
chciałem być tym który ucieka
co to ma znaczyć pytałeś
właśnie chciałem znaczyć tyle co hieroglif
metafora gnoma być i nie być
znikać wymigiwać pysznić się istnieniem
a co Bóg na to pytałeś
Bóg wiele wybaczy i przepuści przez palce
takim jak ja
są to boskie eksperymenta eskapady ekstrema
musimy być na przekór płynąć w górę rzeki

należało pragnąć goręcej należało goręcej pragnąć
należało

Młodość, Dorosłość,
Marzenie, Upadek

Ludzie po drugiej stronie

Ludzie po drugiej stronie ulicy,
gdy mi przywożą węgiel
i podnosi się mgła,

z zapartym tchem śledzący
manewry multikara.
Wreszcie wpasowuje się
zmarznącą dupką w secesyjną bramę,
by wysrać tonę lub dwie
na środku korytarza.

Taki jeden liczący na miał
czai się z workiem.
Niemowa kręcący głową,
przekonany, że gość urwie lusterko
na gzymsie, ale jednak nie.

Starsza pani w filcowych botkach
z opieki społecznej
metalicznym głosem dworcowej szczekaczki
coś mu tam oznajmia,

a mnie pyta, kiedy się to wszystko skończy.
Wszystko to się dawno skończyło,
teraz żyjemy w kawałkach wszystkiego,
w bryłach. Nie chce mi wierzyć.

Wiara

Albo albo

Albo gonić skurwysyna, za
przeproszeniem, co uciekł
obronie, zrobić go na szaro
i dobrze wrzucić
chłopakom. Drzeć się jak opętany
po tym голу, a potem chodzić
po górach zachrypnięty
i po kołędzie (za kolesia,
który się oberwał) też.

Albo jeździć rowerem po dziurawych
mostach, pisać wiersze,
palić papiery po zmarłym
dziadku i zobaczyć to
niesamowite zdjęcie Chruszczowa,
a to wujek Edek. Nosić dzieciaka
i odwzajemniać jego przytulanie,
poklepywać żonę po następnym
brzuchu. Kochać się z tym brzuchem.
Wszystko.

Jesteśmy

Jeszcze lokówka ciepła, rozrzucona bielizna,
niewyłączone radio mówi,
że Okocim sześćdziesiąt. Stan wód
i uczuć, jak to w lutym.

Nadgryziona bułka, pomarszczony
dywan, okno mieni się nagłym
słońcem. Byłaś tu przed chwilą,
teraz jesteś w pracy.

Co uchylałaś, zostanie uchylone.
We mnie mieni się przestrzeń,
wirują: śluz, ślina, sine
krople z sutków. To się chyba nazywa uśmiech losu.
Pojawił się wreszcie na twarzy, prysnął w okulary.
I zapach, smak tego, co się dzieje.
Jak młode zboże rozgryzane wolno.
Szum wokół nas; z gołębi, obłoków,
z płatków sadzy i skóry. Jesteśmy

jak niecierpliwe pukanie dzieci,
odwołane lekcje nieznośnej gramatyki.

Jak księżyc

Znów krew w misce. Kiedy minął miesiąc?
Rozpięta bielizna kołysze się, koi mnie
widok muru z wyjętą znów cegłą.
Biaława kość świtu, długo ją ssały
bezdolne kundle, tłucze się w zaułku —
co stąd, a co nie stąd,
jaki świat opiewać? Zerkać
na zegarek, patrzeć na termometr,
kpić z tutejszych chmur, ruin,
brzoź i kasztanów. Rzadko
skrzydło wlatuje: wzgardliwe
wzruszenie ramion, rozgrzewa powietrze
regularne słońce; panika w oczach... jak-się-życ;
i znów krew, szybki oddech
paruje nad miastem, mgła z niedomówień,
ze wspólnych ust.

Księżyc, Kobieta, Krew,
Czas

I aż do bólu. Ciemność

Poczekalnia pełna głosów
głosownia nastawnia języka
wyobraźnia sprawdza bilety słów a konduktor
jest wierszem Benna pt. „Składnia”
czytany przedwczoraj Otarty o mur do krwi
stoję za chlebem drugorzędny poeta
rozstrzelany drukiem pszeny czy żytni Nie wiem
Polsko jesteś dziwna te głosy każą mi Ciebie
kochać ze wszystkich stron Wzgórza
w jaśminach zapach poranka Przeskakuję
z wiersza na wiersz tak się nie robi ja wiem
Ze swojego wiersza na wiersz kolegi i pytam
czy jestem zepsuty jak mówią do rdzenia

do szpiku zwątpienia do ostatniego słowa
które trąci w kręgosłup i runę
(o poczekalnio pełna głosów!) w szum wodospadu
w szelest węża na ścieżce A to tylko mój
syn nienarodzony wypłatuje się ze ścieżek
pościeli sunie przez poduszkę jak żuk
trącąc bosą stopą strunę napiętego
czuwania i aż do bólu ciemność jego krzyk świeca
szukająca płomienia

Napełnili przydeptali

(z cyklu „Noworudzkie noce”)

Zatrzymana kropla
nim konieczność
zakłnie ją w mętne świedldo
bursztynu albo w wiersz
nim znajdzie się w muzeum
oprawiona w srebro
opatrzona komentarzem
wchodzę w tę kroplę
z całym dobytkiem inwentarzem
dzieci idą za mną żona
stoły krzesła tapczany
półki z książkami
niosę na ręku najmłodszego dzieciaka
jego krzykiem nabrzmiewa błona
zatrzymanej kropli
aż pęknie
a my wylejemy się na bruk
jak ropa i osocze
znowu bez mieszkania
i poczucia czasu

a on krzyczy
bo musi bo w poprzednim
pokoleniu zaliczył komorę
gazową i wkładali mu
do odbytu rozżarzone stopy
metali szlachetnych
szlachetni panowie
Schlapke Braun Wolff
kto mówi o zbrodni
chodziło o rozwój nauki
a potem siedmioletnią
wiecznie otwartą buzię
napełnili igliwem i piaskiem
przydeptali

Podobna trasa

Było jak wtedy, gdy jechałem na pogrzeb wujka
Adama do Makowa i wieniec telepał się w bagażniku.

Październik rześki, wyrazisty.

Podobna trasa. Favoritka mruczała czule,
wpadając z wiatrem w głębokie doliny;
jechałem sam i czułem się potrzebnym
ogniwem w łańcuchu wieńców, ciał
i trumien suwanych do przodu.

(Chciałbym widzieć te trumny
z samego początku.

Właściwie nieraz je widzę.

Czemu, głupi, biegasz
w nocy po mieszkaniu —
pytają potem.

Tak jakoś się zrywam).

Liryka lokalna

Ścięty w polu stary sad,
czarne pieńki w ustach krajobrazu;
rumian zakwitł (jeszcze raz),
błędny ognik ciepłych listopadów.

W Wambierzycach cztery dzwony
złożone do grobu; głuche stoją
w szczyrim... Uderzam kamieniem,
syn poprawia z drugiej;

zapomnianym imieniem,
chylkiem, miedzą, wzgórzem
przeciska się jęk.
„Idźmy. Kogoś boli”.

Dźwięk

Wstyd. Miasteczko górnicze czeka swego końca

W dniu, w którym otrzymałem zaproszenie
do wzięcia udziału w dyskusji o przemocy, razy
sypały się gęsto w wielu szkołach świata.

Ojciec Łukasza C., zajrzawszy do
podsuwanego przeze mnie dziennika,
dopisał się do długiego szeregu
wkurwionych ojców. Chłopak smarkał krwią.
Ja cię chyba zabiję. Dość mam tego wstydu.
Dwa lata temu matka Łukasza C. musiała

Przemoc, Dziecko,
Dzieciństwo, Wspomnienia

wzywać pogotowie. Czuję ból w całym
ciele, podskórne dzieciństwo.
Rozbieraj się. Ale za co. Rozbieraj się,
ty już wiesz za co.

Nie wiem do dziś. A kiedy na wuefie
Rafał D. kryje się po kątach
i nie chce wyjść z szatni, wiem, że dziś znowu
przyniósł wytatuowaną na skórze mapę
niedoszłego powiatu. Jego ojciec krzyczał
na zebraniu, jesteśmy prowincją,
będziemy jeszcze większą. W prowincjach
ból mieszka strach. Ja cię chyba zabiję,
dość mam tego wstydu. A kopalnię i tak
zamknęli. „Przemoc jest tam, gdzie nie ma Sensu”.

Paweł A. nie chce się przyznać. Wreszcie
wybuch płaczem. Tak, robi to codziennie.
Matka musi klękać, a potem pełźnie
po podłodze. Ojciec każe mu patrzeć,
jest ciągle pijany. Paweł moczy się w nocy,
ma kłopoty z nauką. Szkolny pedagog triumfuje,
teoria konweniuje mu z przypadkiem. Śnieg,
śnieg na te rany. W kwietniu? Cichy,
załękniony śnieg. Pójdziemy go deptać,
chłopaki. A jutro w kosza z siódemką.
Dopierdolimy im. Jak nie tak, to inaczej.
Jacek F. wie, że ma faulować.

Marcin B. mówi coś o egzaltacji.
On jest nowy. Będzie uczył wasu.

Przez Stupiec płynie rzeka Dzik

Przez Stupiec płynie rzeka Dzik
przez moje serce jeszcze dziksza
bardziej brudna Osad lśni
w wierszach W ustach dym
z hałdy nad miastem
Daj mi znak może kaszlnij
zrozumiem że cię tu tytko
ta jabłoń trzyma Dziadek
ją sadził w kącie podwórza

szczaw (co porasta stromą stronę
wzgórza) znika w pyskach koni
pasących się z namysłem
i tną gzy Chodzi po opłotkach
cień chmury rozdarłej jak ty
albo schizofrenik Następny człowiek umarł
pogoda się nie zmieni Weź gałąź
sosnową i połóż na ranę.

Kościół w Drogostawiu

widziany przed odlotem
Rozalii Linke, Marii Sztorch,
skłóconych sąsiadek,
które pogodził cios
niewidzialnej włóczni —
anioł się uwijał za dwóch,
las pod oknem niemiał i głuchł;

widziały czerwony, stromy dach,
z bliznami okien uniesionych jak brwi,
odlatywała od korpusu jak głowa
sygnaturka drżąca, nerwowa;
coś było z powietrzem nie tak,
dawany i powstrzymywany znak,
nie czuły w sobie plusku krwi,
nigdy nie były na takiej mszy.

Co chcesz powiedzieć,
wykrztuś teraz —
z księgi doliny robi się książeczka
szybko wkładana do kieszeni płaszcza;
i ten inicjał, pokrętna litera
z czerwonych cegieł. Kościół w Drogostawiu
widziany z wysoka.

Październik

Cóż, bez tej lipy niebo
byłoby bezradne jak syrena na skraju
złomowiska, na rozbieranym wiadukcie
śpiew lokomotywy.

Księżyc w serii znaczków na niebie —
ząbkowane Haiti,
rozwarty seks małwy; i głos:
„nie jesteś poetą krajobrazu, wypierdalaj”.

I coś się ze strumieniem oddała, oddała
sens i przybywa z daleka:
stanąłem u ujścia, rzeka
skojarzeń ma cofnięte źródła.

Wypłynąć jeszcze tej nocy
z tornistrem pełnym książek,
na zbutwiałej tratwie wić mały ból
języka, który chciałby lizać

szron na różach, pokrywach śmietnika.

Rzeka

Ciepły grudzień

Ani i Jurkowi

„jastrząb kwilił, co rozuścierało psy.
krzesło w rzece. kry”.

Tu szedłem, a tam dosłownie
leżałem pod brukiem, pod pianą liści
bitą na asfalcie: oddech ziemi
strofował mnie, naprowadzał —
zaczynały się schody, korytarze.

Tak się leży, tak układa,
wyrównuje oddechy ze wszech stron —
w sobie. Tak się widzi kroki
od spodu, przeczuwa podeszwy; podejrzany
wiatr. W zajezdni dużo flag.

Trochę szedłem, ale coraz bardziej
obraz zachodził w głąb. Zachodziłem,
zaszedłem, stoję nad otwartą
myślą: w notatniku zaciskał się
rząd, gwar bryl. I sny.

Kręto, przestrzennie, lustrzanie.

Jak igła do zszywania owiec
łśni w szronie wieża kościoła w Głuszycy

i są jagnięta na wzgórzach
zziębnięte, zdziwione.

Więc to ty jesteś, świecie.
o którym tyle szeptano we krwi.

I trzeba skubać to szare, szkliste.
Białe strumykami w dół, będzie pluskać.

Czarne, okopcone sunie
po wiadukcie. Koń przejechał.

Skąd wiem, że koń? Każdy widzi
dwukółkę, bat, parujący asfalt.

Zimny styczeń

Kasi i Jarkowi

I otrząsną perlistym śmiechem
szadź z opłotków; ja nie wiem,
kto te dzieci robił,
i w jakiej pokorze. Są

na wzgórkach: między parowy
wpada krzyk nerwowy,
roztrzęsiona sanna. Z drogi, z drogi.
Zbocza lśnią jak śledzie.

Chcą połamać nogi
przechodnia, co zatrzymał chwilę:
hałdę, rzekę; w pomarszczony obłok
ciężko kasztan wchodzi, rozsypując obrok.

Wozy wypełnione węglem
suną w głąb doliny.
Pęka serce mrozu
nad kamieniołomem: zgrzyt stalowej liny.

Kwaśny luty

Oldze i Romkowi

Gdy nie dają szans rozbudzone dzieci;
albo to jest najważniejsza szansa.
Zapał, wcześniej zapał;
pałę arkuszami zeszłorocznych ocen.
Jeszcze wcześniej uderzenia, trzask —
pojemniki na śmieci opróżniane w śnieg.

Kto żyw w nieznannej ciemności
przeszukuje teren Martwej
i przyległych; natkną się na psa czy nie...
Popiół, wszędzie popiół,
rudoszary ślad po wcześniejszych,
teraz dumnych ze swego pióropusza.

Nad dachami wpada w poślizg wiatr
jak cuchnący oddech chorego olbrzymia;
otrzepuję się z sierści, ciemność trwa —
a właściwie trawi resztki. Potem blask.

Bóbr wzbiera. Mijam go po drodze.
I on mnie mija.

Rzeka

Ileż podmytych kurników,
upadłych plotów z wikliny!

Bieda, Rodzina, Współpraca

I nie masz nikogo, który by opisał
brudne dzieci wpychające fotel

w żuka i konia bez głowy.
Rodzina się przenosi bliżej biedaszybów.

Zima nie ma końca.

Piosenka z końca lutego

Czytanka świata otworzyła się tu
na obrazkach z zimy
i pan nauczyciel zza chmur, zza brzóz
wyjaśnia wszystkim, co my tu robimy.

Zima

Widzicie, dzieci, poranek lutowy
w pewnej części Sudetów Środkowych,
na krańcach horyzontu gorzki róż
przechodzi w śliwkowy, i staje się już

coś nietutejszego: wrastają w szadź
łzy Matki Boskiej lub kogoś takiego;
pejs starozakonnego, kiel ziemniaka
gdzieś w kącie kuchni nieba —

tyle o księżycu. Z prawej krzyże cmentarza
i główkę krokus wynieść się odważa
na światło, mróz, lodowe pęknięcia.

Dzięki, światło, za światłość —
to głoska różnicy,
ale nam pozwala wychynąć z piwnicy.

Wspiął się i patrzy w bystrza Woliborki
pies wyrzucony wcześniej z samochodu —
czy widzi twarze, co przestały kochać,
może przyszłość świata, podkulony ogon —

Pies, Bezdomność, Rzeka

samotny na wietrze, zjeżony,
przekrwiony jak oko,
którym widzi nurt —

bo jego rzeczy zostały pod wodą,
miał tam dokumenty,
smyczkę i kaganiec;
rzeka robi zdjęcia i podaje dalej —

wścieka się na pianę,
gryzie łańcuch brzegu.

*

To jest wiosna,
gdyby ktoś nie wiedział;

coraz więcej psów
wpatrzonych w ciemną wodę.

Oda

Mariuszowi Grzebalskiemu

Psy wskakiwały na mur, liżąc
twoje ślady; liście podrygiwały w tańcu;
rzeczka w Sudetach jak Potomak w marcu;
stygające stygmatyczne znaki
na pełzających zboczach —
smutne ogniska, przy których ludzie
z opuszczonymi głowami
na krawędzi obłoków. Wiatr wiał,
ale słycać było niechęć
i zrządzenie losu;
stało, co się miało ruszać,
co się kiedyś ruszało
w dzieciństwie, śniło

Wiatr, Los, Przemijanie,
Dzieciństwo

Psy wskakiwały na mur, liżąc
twoje ślady

Jak u nas w południe

Zygmuntowi Krukowskiemu

Pukają do drzwi
krzyczą przez kruche literki
otwórz się odłóż
to co chciałeś wypowiedzieć na marne
nie wracaj do tych samych słów

odnawiaj się chłopcze
ta ścieżka zachęca
wysoka trawa czyha
hałda cmentarz zasypuje cicho

świadcowie Jehowy
nadchodzą z Miedzianki

sztuczne kwiaty w majolice
a Jezus jak Nike
bez oka
bez jednego skrzydła

bo prawda z braku się bierze
prawda bezskrzydła
ślepa

pukają do drzwi
szarpia za sznur
który nie dorósł do pętli
pokazują flachę pęto kielbasy
chcą ode mnie więcej

List czytelnika z Wałbrzyskiego

„Na tyle listów chciałem odpowiedzieć
grzecznie. Trzydzieści siedem lat byłem
miły. Szkoda, że to się skończyło.
Trudno to nazwać transgresją.

Grzeczność

Kupa gnoju, którą chciałem toczyć
w jakiejś formie, np. kuli,
okazała się za wielka.

Po prostu”.

Bez światła

Są odpływy światła, psują się baterie,
siada akumulator w starym szewrolecie,
gasną jarzeniówki, zawijas neonu
wylamuje szereg —

i znów chwila zamknięcia dopływu,
łapiemy powietrze, przeskakuje iskra
ze stryja na tego niżej na zdjęciu
w parafii. Nie martw się, siostrzo,

poznacie go po bielmie
łamiącym się na widok, na blask.
Przymrużcie już oczy, o tak.

Wiertarki w ogrodzie, silniki w piwnicy
ściągają od nas z góry najwięcej energii.
Parujemy niewytarci, chyba utrwaleni.

Prosta historia

Do tylu kościołów wchodziłem
daremnie, gipsowe figurki śmiały się ze mnie...
Pozostawione dzieci płakały.
resztki Boga trzeba było wyskrobywać
z ich zabłoconych kurtek,
ojciec buszował w knajpach, nawiedzał dziwki,
świat oddalał się jak chybotliwy wagonik
bez konduktora, bez maszynisty;

Bóg, Dziecko, Wiara, Czyn

potem takie same dzieci spotykałem
w szkołach, uczyłem je poprawnej pisowni
własnych nazwisk, wpatrywały się we mnie
jak w maszynistę, wybierałem z nich
najlepsze do składu na mecz
z sąsiednią biedą i kiedy obrzucały się błotem
na boisku pod hałdą, miałem łzy w oczach.

Wiem, miało być o Bogu.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/maliszewski-zdania-na-wypadek-liryka-lokalna/>

Tekst opracowany na podstawie: Karol Maliszewski, *Zdania na wypadek*. Wiersze wybrane, red. Radosław Wiśniewski, Klub Integracji Twórczych Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2007.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).